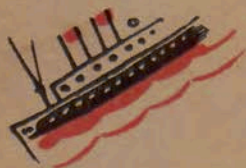


GUSTAWA JARECKA

w świat



D A R

B-ka Wyższego Seminarium
Duchownego Księży Orienistów

dla Wł. M. B.

im. Marsz. Józefa Piłsudskiego
w Łodzi

Sal. J. Jarecka

GUSTAWA JARECKA

SZÓSTY ODDZIAŁ JEDZIE W ŚWIAT

POWIEŚĆ DLA DZIECI OD LAT 11—13

ODCINEK POWIEŚCIOWY II TOMU „PŁOMYKA”

ROK SZKOLNY 1935/6

W A R S Z A W A

OKŁADKA K. SOPOCKI



Z. S.

420237/
97

Druk „Nowoczesnej Spółki Wydawn.”, S. A., Warszawa

dlu yw/563/97

I.

Pociąg biegł po szynach z miarowem dudnieniem. Okazało się, że w żadnej zabawie nie wychodziło to tak, jak było naprawdę.

Naprzeciwko siedziała mama, w górze na siatce kołysał się bagaż, dwie duże walizy, jedna mała i pled w paskach.

Za oknem przelatywały szybko pola pokryte topniejącym śniegiem i łąki z przeszłoroczną trawą, migały niezliczone słupy telegraficzne z długimi nitkami drutów. Mama była roztargniona i smutna. Niespokojnie patrzyła na bagaż, potem brała gazetę, patrzyła przez okno i wdychała zamiast czytać. Wtedy Wandzi też napływały łzy do oczu. Już tak strasznie daleko byli od rodzinnej Łodzi, coraz dalej.

Tylko Jasio od przesiadki w Kutnie spał sobie spokojnie z głową na poduszce, przykryty chustką.

Miał dopiero trzy lata i wcale się nie martwił. Wołał:

— Jasio jedzie do taty —, naśladował lokomotywę i był wesoły.

— Wandziu, może coś zjesz? — spytała mama.

Już Wandzia chciała powiedzieć „nie”, kiedy poczuła, że właściwie jest okropnie głodna. Śniadania naturalnie nie jadło się z podniecenia. Ktoby to jadł przed swoją pierwszą, prawdziwą podróżą?

Ale głód przemógł zmartwienie i Wandzia zaczęła zjadać z apetytem.

Pociąg pędził niezmordowanie, już wiele stacyj dzieliło od Łodzi.

Tatús miał nową posadę na Pomorzu w miasteczku Wąbrzeźno.

W Łodzi, w szkole nikt jeszcze o takim nie słyszał. Dopiero na mapie znalazła je pani.

Stało tam przy malutkich punkcikach jezior, a niedaleko był duży, tłustemi literami wypisany Toruń, o którym się wiedziało, że tam mieszkał Kopernik i wyrabiano wspaniałe pierniki.

— Jedziesz do Wąbrzeźna pod Toruniem — powiedziała pani i to brzmiało już daleko weselej niż samo malutkie, nieznajome Wąbrzeźno dla Wandzi urodzonej i wychowanej w Łodzi, drugim skolei mieście w Polsce.

Ale rozstanie ze szkołą było bardzo smutne. Wszystkie dziewczynki płakały, Wandzia najwięcej, przyrzekano sobie, że nigdy, nigdy nie zapomną o sobie i w walizce obok książek, ostatnich zeszytów i numerów szkolnej gazetki, leżał w bibułce malutki album.

Do niego wpisał się uroczyście cały piąty oddział, najładniej przyjaciółka Kryśia pod widoczką z kominami fabrycznymi.

Kominy to była pamiątka po Łodzi, gdzie jest tyle fabryk i twarze dzieci wracających ze szkoły często noszą figlarne, czarne kropki sadzy.

Ale w ostatnich latach dużo było kominów nie oddychających szaremi smugami dymu. Sterczały martwe, a ludzie nie mieli wtedy pracy, ani pieniędzy.

Dlatego tatuś szukał posady gdzieindziej i znalazł ją właśnie w Wąbrzeźnie na Pomorzu. Dlatego pani Kowalska z dziećmi wyjeżdżała na zawsze z Łodzi, gdzie mieszkali przez całe życie.

— Mamusiu, dlaczego nazywa się „Pomorze”?

— Bo ta dzielnica sięga aż do morza, ale u nas go jeszcze nie będzie. Zato jezior pewnie zobaczysz dużo, bo to już jest pas Pojezierza Bałtyckiego — objaśniła mama, ale wcale nie zdawała się cieszyć z podróży.

Tęsknotę Wandzi odsunęła nagle ciekawość, jak też wygląda miasteczko, w którym będą mieszkali? W Łodzi nie było wcale jezior. W parkach, albo za miastem zdarzały się stawy i sadzawki.

Ostatecznie, nie było może tak źle pojechać w nieznaną stronę. Bo to niby też Polska, a przecież coś innego. Wandzia znów przysunęła się do okna. Za szybą przelatywały małe stacyjki, na których pociąg nie stawał wcale.

Dopiero po pewnym czasie pojawiły się większe zabudowania, pociąg zwolnił bieg, hamulce zgrzytnęły, aż stanął zupełnie.

Otworzyły się szybko drzwi, zaczęto wysiadać,

z peronu wchodzili nowi podróżni. To była duża stacja, Włocławek, i Wandzia zapisała ją w notesie.

Na peronie biegali chłopcy z emaljowanymi meżkami i wołali głośno:

— Parówki, świeże, gorące parówki!

Spod pokrywki buchał przyjemny zapach kiełbasek i musztardy.

Inni roznosili butelki z kolorowymi napojami:

— Piwo, lemonjada, piwo.

Migały białe fartuchy roznosicieli i głosy ich mieszały się z nawoływaniem numerowych, z pytaniami o pociągi i łączyły się w żywy gwar podróży.

Od tych nawoływań obudził się mały Jasio i zaczął głośno wykrzykiwać: „piwo, lemonjada”, potem ruszył na spacer między ławkami i pobudzał wszystkich w przedziale do śmiechu.

Najdłużej stał przy grubym panu, oglądał go i nareszcie spytał:

— Co ten pan ma na brzuszku?

— Cicho Jasiu, cicho — mówiła zawstydzona mama — to dewizka od zegarka.

Pan śmiał się, aż mu się różowe policzki trzęsły i pozwolił Jasiowi bawić się łańcuszkiem, który zabawnie wisiał na kamizelce.

Okazało się zaraz, że to pierwszy mieszkaniec Pomorza, którego poznali.

— My nie takie modnisie jak te z Kongresówki — mówił żartobliwie, tłumacząc się z tej staroświeckiej dewizki.



Potem opowiadał, że mieszka w Bydgoszczy i jak tam ładnie. O wiele ładniej, niż w Kongresówce — zapewniał. — Lepiej się panience spodoba — uśmiechnął się do Wandzi.

Przy następnej stacji objaśnił, że ten Aleksandrów to Kujawski, bo są i inne.

Mama spytała niespokojnie: — To już pewnie zaraz Toruń?

Dzieci porwały się żywo, Jasio zaczął wołać, żeby mu czapkę włożyć, Wandzia szukała swojej walizeczki ręcznej, ale gruby pan uspokoił wszystkich:

— Jeszcze dosyć czasu, tam pociąg długo stoi. Zdążą, zdążą — i nagle spojrzawszy przez okno, zawołał:

— Tutaj właśnie jest granica, dawna granica między Pomorzem, a Kongresówką, ta mała rzeczka.

Mama, Wandzia i naturalnie Jasio przysunęli się do szyby. Wszyscy ujrzeli brunatną rzeczkę, która płynęła wąską wstążką i łączyła dwa bliskie, zaroślami pokryte brzegi. Aż dziwne było, że one dzieliły niegdyś kraj.

Za rzeczką rozpoczynał się las młodych, srebrzystych brzoź.

— To już Pomorze — powiedział gruby pan.

— Pomozie — zaszczebiotał Jaś i pacnął rączką w szybę, a Wandzi wydało się nagle, że już te brzozy i małe, barwne domki i szerokie bite drogi, które przelatywały za szybami, że to wszystko jest zupełnie inne, niż przedtem.

II.

To była poniekąd prawda, nowe miejsce okazało się niepodobne do niczego znanego. Do Wąbrzeźna przyjechali autobusem. Autobus zjeżdżał z góry wdół i już zdaleka ukazało się miasteczko, czyste, murowane, położone nad pięknym jeziorem.

Nowe mieszkanie było w parterowym domku przy wąskiej uliczce Mestwina. (Odrazu okazało się, że nikt, zupełnie nikt nie wie, kto był Mestwin).

Wszystko było lśniące, świeżo malowane, ale o wiele mniejsze niż w Łodzi.

Wandzia ani chwili nie mogła się utrzymać w mieszkaniu. To była dopiero przyjemność, żadnej sieni, żadnych stopni, odrazu z dwóch schodków prosto na ulicę, przed dom.

Naprzeciwno, blizutko jeden obok drugiego sklepy z najdziwniejszymi sztyldami: „Rzeźnictwo” i „Piekarnia chleba i ciast”, a dalej „Mistrz siodlarski” z wielkim koniem w uprzęży na wystawie.

Nad jednym sklepem siedział mały złoty lew, nad innym stał anioł w niebieskiej szacie z rozpuszczonymi włosami. To były drogerje „pod Lwem” i „pod Aniołem”. W Łodzi nazywało się to zawsze zwyczajnie: skład apteczny.

Wanda, zapominając o pilnowaniu Jasia, gapiała się wciąż na te niezwykłości, a Jasio podniecony zmianami, spaniem, które się przygotowywało na zwykłych siennikach, bo jeszcze łóżka nie były gotowe, wrzeszczał w niebogłosey.

Wtedy mama wychylała się przez okno (strasznie to zabawna rzecz takie parterowe okno, spojrzeć, a już widać całe mieszkanie) i wołała:

— Wandziu, uspokój Jasia.

Ach, ile rzeczy się wydarzyło już pierwszego dnia. Najpierw przyszła do pomocy w gospodarstwie młoda dziewczyna z niebieskimi, wesołemi oczami. Nazywała się Marta. Mówiła „wielmożna pani”, albo „łaskawa pani”, a mamusia zaraz na to, że nie potrzeba, żeby tylko „pani”.

Podziwiali siebie nawzajem. Marta oglądała wszystkie przedmioty i naczynia, jakie przywieźli.

— Ale to piękne... — wzdychała wciąż i wypytowała:

— To nie jedwabne? A to z czego?

Wanda też kręciła się koło niej z ciekawością. Zapytałaby ją chętnie o coś, ale nie wiedziała jak zacząć. Tymczasem Marta sama przystąpiła do niej i z uśmiechem na rumianej twarzy zapytała:

— Nie wie to gdzie śruber?

Wandzia okrąglami ze zdumienia oczami i z otwartymi ustami patrzyła na nią bezradnie. Niby to było po polsku, a przecież nic się nie rozumiało. Ani słowa.

Nawet mama przywołana na pomoc nie wiedziała. Zaczęto pokazywać, domyślać się.

— Może śruba?

— Nie, nie skąd.

Okazało się, że to zwyczajna szczotka.

Dopiero tatuś, który tu już był od miesiąca za-

— Spróbuj poszukać — powiedziała.

Zamek to było ulubione miejsce spacerów, ale właściwie szło się tylko w stronę ruin krętą drogą wśród zarośli nad jeziorem. Na Zamkową Górę dziewczynki nie wchodziły. Oleńce nie pozwalano, a Gretka bała się, zresztą wszystkie знаły już doskonale stare mury i tylko Wandzia widziała coś niezwykłego i tajemniczego w szczątkach krzyżackiego zamku. W Łodzi oczywiście nie było podobnych miejsc.

— Gdzieś była znów? — pytano się w domu.

— Na „pod zamkiem” z Oleńką burmistrzanką — odpowiadała Wandzia i nie spostrzegając sama, że już mówiła tutejszym sposobem.

Oleńka burmistrzanka była miła, ładna i uczyła się dobrze. Wandzia zaprzyjaźniła się z nią najwięcej, ale żyła się już także z resztą dziewczynek i znała wszystkie osobliwości klasy.

Piotra Baba była nietylko największa i najsilniejsza, ale uczyła się też najgorzej, najmniej umiała i łatwo było ją namówić na najgłupsze żarty. Siedziała w ławce z zadartym nosem, zabawnie upstrzonym piegami, z cienkim, potarganym warokoczem i wymachiwała grubymi rękami, aż któraś z dziewczynek wołała:

— Piotra Baba, pokazuj sztuki.

Wyskakiwała wtedy na środek klasy, jak wielka, ciężka kłoda, fikała kozły od których drżała podłoga i wykrzykiwała twarz.

czął opowiadać i uczyć nowych słów. Jak „zakłuczyć” znaczyło zamknąć, a „jaczka” — bluzka.

Za domkiem był mały, śliczny ogródek. Wiele domków miało tutaj takie. Wandzia po obiedzie poszła tam z Jasiem. Niecierpliwie czekała na mamę, żeby pójść razem i zobaczyć miasteczko.

Tymczasem jednak miasteczko przychodziło do niej. Przez płot ciekawie zaglądali ludzie, którzy poznawali nowe twarze. Szły tam kobiety z koszykami, małe, ciekawe dziewczynki w haftowanych białych fartuszkach i chłopcy w trepach i welwetowych kurtkach.

Zagłądali i rozmawiali głośno między sobą:

— Co to za jedne?

— To te, co wczoraj wciągnęli. Jeich ojciec u pana Szczuki w browarze robi.

Wandzia poczuła nagle ze smutkiem jaka jest tutaj samotna. Wszyscy odchodzili sobie czystą, pełną ogródków uliczką, szeptali z sobą, śmieli się, a ona nie miała nikogo. Kiedy tylko mama otworzyła furtkę i westchnęła:

— Jak tu ładnie —,

Wandzia podbiegła do niej i zwierzyła się:

— Mamo, jabym chciała do szkoły. Czy tu tylko jest jakaś?

— Naturalnie — pocieszyła ją matka. — Zaraz po drodze zobaczymy, trzeba będzie postarać się naprawdę, żebyś się jeszcze mogła do szkoły dostać w tym roku.

— Ja też chciam do szkoły — wrzasnęła Jasio.

— Janek, chodź tu — zawołała Wandzia.

Za płotem ktoś roześmiał się głośno: — Janek zbił dzbanek... — zawołały dziecinne głosy.

Wandzia ucieszyła się. Całe szczęście, że wszędzie można było znaleźć urwisów.

III.

Szkoła znajdowała się przy ulicy, która wyglądała jak zdjęta z kolorowej widokówki. Domki po obu stronach białe, albo z cegły, z oknami pełnymi kwiatów.

Szkoła była dwupiętrowa, szara, ze sporym dziedzińcem. Cała ulica była wysadzana drzewami. Jeszcze nigdy nie widziała Wandzia tylu żywych roślin, ile tutaj.

Naturalnie, w Łodzi też były drzewa, ale stały przybłąkane gdzieś tam, zakurzone, blade, albo sztywno ustawione dla ozdoby. Tutaj były piękne, bujnie rozwinięte i wysadzono nimi prawie wszystkie ulice. Kiedy Wandzia podniecona i niespokojna weszła do budynku, opadła ją zaraz miła, znajoma wrzawa.

— V oddział na drugim piętrze — odpowiedziała zapytana dziewczynka, przyglądając się jej.

Ale Wandzia już się do tego przyzwyczaiła. Taki jest los nowych, że im się wszędzie przyglądają.

Wandzia otworzyła drzwi klasy. Ze ścian popatrzyły znajome szkolne rysunki i wycinanki i trzydzieści par oczu dziewczynek, które skierowały się wszystkie na przybysza.

Bardziej jeszcze niż kiedykolwiek trzeba się było przypatrzeć nowej, która się zjawiała w czasie roku szkolnego i kto wie z jak daleka...

Stały w tej klasie wielkie ławki, takie, jakich Wandzia nigdy jeszcze nie widziała. Na każdej siedziały cztery dziewczynki.

Stanęła bezradnie pod piecem. Dwie dziewczynki zdaleka chichotały, patrząc w jej stronę.

— Poradzę sobie — pomyślała nagle i spytała najbliższej:

— Czy jest jakieś wolne miejsce?

— Wedle okna — odpowiedziała jasnowłosa dziewczynka z mocno splecionymi warkoczami. Nośła fartuszek biały, haftowany w niebieskie kwiatki. Sporo dziewczynek miało takie.

— Usiądź tu — powiedziała — ja też w tej ławce siedzę, nie, to będziemy razem. — Wandzia rozumiała ją doskonale, a jednak był to wciąż ten nowy nieco język, niby polski, a trochę inny.

— Skąd wyście przyjechali? — spytała ciekawa sąsiadka.

— Z Łodzi.

— Ach mój jeny, to daleko — zainteresowała się dziewczynka i zaraz jeszcze kilka otoczyło ławkę.

Chciały wszystko wiedzieć naraz, gdzie jest Łódź i czy dużo i czem Wandzia przyjechała i z jakich książek uczyła się przedtem.

Zato też prędko i jedna przez drugą opowiadały o swoich sprawach. Że najbliższa lekcja to

będą rachunki, a pani jest bardzo dobrą i czasem tylko się „zjadowi”.

To chyba znaczy — rozgniewa — domyśliła się Wandzia.

Zaczęły się też po kolei przedstawiać, jak się która nazywa. Więc najbliższa obok, Oleńka Czechówna, pana burmistrza córka i Hilda Gulda z ulicy Kolejowej i Gretka Kaczmarek, córeczka mistrza kominiarskiego.

Przy dziewczynkach wymieniało się zaraz ich ojców. Było to bardzo zabawne i odrazu widziało się w wyobraźni domy rodzinne dziewczynek.

Oprócz tych w haftowanych fartuszkach, sporo było innych, w starych sukienkach, bez kołnierzyków, a jedna nawet nosiła fartuch wyraźnie przerobiony z dużego, pasiastego. Dziewczynki opowiadały o niej Wandzi:

— Ojdowska się nazywa i w barakach mieszka na Luksusie. To się tak ten plac nazywa, gdzie baraki są. My jej mówimy Ojda. Ona nawet do szkoły rzadko przychodzi, bo nie ma matki i sama w domu gotuje. Pani tylko zawsze upomina, że ma przychodzić — objaśniła usłużna Oleńka.

— A tamta to Piotra Baba, widzisz, jaka duża. Właściwie Piotrowska. Ona znów zimą nie przychodzi, bo nie ma ciepłego palta i aż w Myśliwcu mieszka.

W ciągu kilku minut poznała Wandzia całą klasę. Okazało się, że we wszystkich szkołach są dziewczynki najróżniejsze, takie które nie mają zmar-

twień i takie, które już mają troski i obowiązki domowe.

Wandzia pocieszyła się trochę po Łodzi. Tu też zaczynało być zajmująco i można było znaleźć przyjaciółki.

Drzwi się otworzyły i weszła pani z dziennikiem. Dziewczynki rozsypały się po ławkach, a wesoła Gretka, sąsiadka Wandzi z lewej strony, zdołała jej szepnąć prędko:

— Dobrze, że razem będziemy siedzieć, nie? — i prędko pod ławką uściśnęła jej rękę.

IV.

Kiedy w południe tatuś wrócił na obiad, Wandzia przywitała go tego dnia wesoło z pomorska:

— Jak ci idzie tatusiu, bo mnie doskonale?

Naprawdę poszło doskonale. Poznała prędko nie tylko dziewczynki, ale całe miasteczko, ulice, piękne drogi w stronę trzech jezior, które otaczały miasto. Nad największem z nich było wzgórze, które nosiło nazwę Zamkowej Góry.

Właściwie nie było tam już zamku, tylko stare mury, rozsypane w malowniczą ruinę. Można było tylko zgadywać, jak tu wyglądało niegdyś. Wandzia z triumfem zaprowadziła tam matkę.

— O, widzisz, w murze są jeszcze strzelnice, a fosa wygląda tak samo jak paręset lat temu, tylko wody w niej niema i cały wał jest. Jak myślisz mamusiu, może tu są jakieś zakopane skarby?

Ale mama śmiała się:

— Te co w cyrkusie pokazywali — zagrzewali ją niektóre.

Bo wszystkie wiedziały, że Piotra Baba wdrapała się na kasztan z ulicy Mickiewicza i bezpłatnie z drzewa obejrzała sobie sztuki błaznów z przyjezdnego cyrku Cyganów, który one niewszystkie widziały.

Piotra Baba zaczynała łązić na rękach i tańczyła tak zabawnie, że się klasa na ławkach pokładała ze śmiechu.

Teraz była głośna i wesoła, dumna ze swoich sztuk, tylko na lekcji wywołana, stawiała bezradnie w ławce, duża i ciężka z śmiesznym cienkim warkoczykiem, w który zawsze coś wplatały koleżanki z tylnej ławki i oglądała się, czy jej ktoś podpowie.

Ale nawet powtórzyć nie umiała dobrze, przekręcała niedosłyszane słowa i cała klasa pokładała się ze śmiechu, kiedy zamiast szepniętego „król Mieszko”, Piotra Baba mówiła „królestwo”.

Kiedy Wandzia zobaczyła sztuki, śmiała się do łez, wyskoczyła nawet na środek klasy i próbowała przedrzeźniać cyrkowy taniec. Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Z jednej z ostatnich ławek wyskoczyła w swoim fartuchu, przerobionym z dużego pasiastego, Ojda, czerwona z gniewu jak pomidor i szarpnęła Wandzię mocno za ramię.

— Ty czego się z niej śmiejesz? Taka mądra jesteś, a śmiejesz się. Ona nic nie umi, nie uczy się, duża, a głupia. A one same śmiechy. To zrobią, że

całkiem będzie zwarjowana — i odwróciła się nagle rozniewana, z głosem, który podejrzenie drżał.

— Co ty... — zawołała Wandzia, ale nie zdążyła skończyć, bo nauczycielka weszła do klasy i te dziewczynki, które nie były na miejscach rzuciły się do swoich ławek, ostatnia naturalnie Piotra Babę, zgrzana i zmęczona sztukami.

Wandzia w swojej ławce między Oleńką, a Gretką straciła nagle humor. Czego się właściwie gniewała dziwna Ojda z Luksusu, taka biedna, że nawet Wandzia, której rodzice nieraz martwili się z braku pieniędzy, Wandzia wydawała się przy niej małą królową.

V.

— Wandziu, dokąd idziesz?

— Na pod zamek.

Oleńka i Gretka, wybierały się tam na spacer. Ale kiedy Wandzia przyszła i żadnej z nich nie było, wpadła jej nagle coś do głowy.

Wdrapała się na zbocze Zamkowej góry. Okazało się, że to nie tak łatwo, ani blisko, jak się zdawało. Chwytała się trawy i kamieni, żeby nie poślizgnąć się i nie spaść, nareszcie zmęczona i zdyszana usiadła na odłamie muru w wąskiej strzelnicy.

Znane historie krzyżackich zamków przypominały jej się, wszędzie tu było tyle śladów tamtych odległych czasów, że kiedy nagle doszły dalekie głosy, Wandzia wzdygnęła się i zerwała, jakby w oba-

wie, że któryś z groźnych rycerzy zjawi się na chwilę.

Głosy zbliżały się. Jeden z nich należący do chłopca, powiedział wyraźnie:

— Wleczenie się jak baby —,

a na to drugi znajomy, dziewczęcy: — Jakie baby, taksamo chodzą baby jak chłopcy. Może ty prędzej na górę wleziesz jak ja, co?

— Ano z tobą to dobrze, ale inne dziewczuchy są do niczego. Mało która co potrafi, sama wiesz. A teraz rozkaz: dzielimy się na dwie części, wy w jedną stronę, Marycha z Hubertem i z małym, a ja z Bunkiem i Lutkiem na prawo i gwizdajcie jakby coś było. — Cienkie, przeciągłe gwizdanie między murami zagrało od strony niewidzialnego wodza: fi, fi, fiu, fiu...

— Ruszamy — powiedział ten sam głos i w otworze strzelnicy Wandzia zobaczyła dużego, opalonego chłopca, a za nim mignął pasiasty fartuch Ojdy.

Wandzię ogarnęła paląca ciekwość. Po kłującej, suchej trawie i mchu posuwała się równolegle z nimi na czworakach wzdłuż muru.

W wąskim przejściu, między jedyną ścianą całą, a drugą rozsypaną w gruzy, szła Ojda, a za nią z cienkimi patykami i grubymi kijami, pełnymi wyciętych na korze znaków, szli trzej chłopcy, dwóch dużych i jeden mały, smyk w podartej bluzie z czerwonymi guzikami. Kijami uważnie żłobili w miękkim gruncie ścieżki.

— Jakbyśmy znaleźli, zniesiemy wdół — rzekła tajemniczo Ojda.

— Widzieliście u Wojteckiego scyzoryki? — spytał duży chłopiec — te nowe z białym perlmutrem¹⁾ na trzy noże. Takibym kupił i aparat do fotografii, nie?

— Głupi — zawołał młodszy — jakbyśmy znaleźli, to pół miasta kupisz.

A Ojda na to:

— Nie, już myśmy z Bronkiem postanowili, że odrazu między ludzi na Luksusie podzielim i nowe domy się pobuduje...

— To jakby dla dużych najwięcej — rzekł Hubert — dla nas teżby coś wymyśleć trzeba.

— Dla nas — zamyśliła się Ojda.

— Mybyśma — rzekł mały z grubą laską — nad morze pojechali z wycieczką.

Ojda aż przystanęła.

— Najlepiej nad morze. Jazda. Szukać. Prędko.

— A może i nic niema — powiedział powątpiewająco Hubert.

— Jak niema to se idź, nie szukaj, sami poszukamy — obraziła się Ojda.

— Przecie idę — zawołał Hubert i wbił laskę, aż ugrzęzła i nie dała się ruszyć.

— Jest coś twardego, jak Boga kocham, jest — wrzasnął Hubert.

— Gdzie? — zawołali jedno przez drugie.

¹⁾ masą perłową.

MBP Łódź 12492 MKD

We czwórkę przypadli do ziemi i Wandzia nie widziała już nic, tylko ich schylone głowy i grudki ziemi wylatujące spod lasek, które gwałtownie rozkopywały piach. Serce jej biło ze wzruszenia. Jaka szkoda, że nie była z nimi.

— Au — zawołał Hubert i zrobiło się cicho.

— Kamień — powiedziała Ojda z prawdziwą rozpaczą.

— Ale ładny — pocieszył się mały chłopiec z czerwonymi guzikami.

— Weź go se — mruknął Hubert — krzemień — i zaraz dodał gniewnie — nie mówiłem, jakie tam skarby, żeby nawet pieniądze były, toby się popsuly, tyle lat...

— Wcale nie — sprzeczała się Ojda — złote pieniądze czasem paręset lat leżą — ale już głos jej był mniej pewny.

Nagle rozejrzała się bystro i wsadziła głowę w wąski otwór strzelnicy. Zetknięcie było tak nieoczekiwane, że obie odskoczyły, rozciekawiona Wandzia i czerwona jak mak Ojda.

Musiała się zawstydzić swoich dziwnych, fantastycznych pomysłów i tego, że się Wandzia przypatrywała ich zabawie. Nie mówiąc słowa, cofnęła głowę.

Zdaleka, z przeciwnej strony, z za muru doleciało donośne, przeciągłe gwizdanie: fi, fi, fiu, fiu...

Ojda pierwsza, a za nią chłopcy zaczęli się wdrapywać w górę, chwytając się kęp trawy i omszonych

kamieni. Drobnny żwir i piasek sypał się spod ich bosych, brudnych stóp.

— Odwrót — wołał Hubert — jazda w górę, widzę ich, są tam.

— Znaleźli chyba — pomyślała wzruszona Wandzia. Serce biło jej prędko. Może lada chwila ukażą się obładowani skarbami poszukiwacze. Ale zdaleka, na poroślem trawą zboczu góry, zobaczyła tylko małego chłopaka w podartej bluzie. Stał sobie i skubał czerwone guziki. Naturalnie, nie zdarzyło się nic.

Wandzia śmiała się sama z siebie. Musiała to być tylko zabawa. Ale chociaż była już dosyć duża, żeby wiedzieć, że niema ukrytych skarbów, wzięła-by chętnie udział w tej zabawie.

Ojda z pomysłami i marzeniami była inna niż tamte dziewczynki i może nawet lepiej byłoby zaprzyjaźnić się z nią jak z... Oleńką.

Aż się zdziwiła, kiedy jej to przyszło do głowy, ale już od tej chwili sama pragnęła, żeby się w nowym miasteczku zdarzyła jakaś przygoda. Bo przecież naprawdę przygody były najpiękniejsze w życiu.

Z Ojdą nic się nie zmieniło. Opuszczała lekcje, przynosiła zatłuszczone zeszyty, albo nie miała ich wcale i już nigdy nie była w klasie ani taka wesoła, ani pełna pomysłów jak wtedy na Zamkowej Górze. Nigdy nie zdradzała się też z tem, że widziała tam Wandzię.



Wtedy któregoś dnia przypadkiem spytała Wandzia na lekcji:

— Proszę pani, czy od nas daleko do morza?

— Kilka godzin podróży koleją, około czterech.

— A ja myślałam, że bliżej, bo „Pomorze” — rzekła rozczarowana Wandzia — do Łodzi też jest niewiele dalej stąd.

Wszystkie dziewczynki zaczęły się pytać o morze. Tak było przyjemnie, że coś nieoczekiwanego zdarzyło się na lekcji. Żadna z nich jeszcze nie była nad morzem, choć to niezbyt daleko.

Nagle Oleńka burmistrzówna, czerwona ze wzruszenia jak pomidor, stanęła w ławce i podniosła dwa palce. Czekala posłuszenie, ale na próżno, bo już prawie cała klasa jednocześnie stanęła w ławkach z wyciągniętymi w górę dwoma palcami:

— Prze pani — pomagały sobie te, które najprędzej chciały powiedzieć.

— Na święto morza to koleje są tanie, nie?

— A gimnazjum to co rok jedzie na wycieczkę.

— Mój brat z harcerzami był na obozie w Wielkiej Wsi, to też nad morzem.

Aż nagle Wandzia krzyknęła ponad wszystkie:

— Proszę pani, jedźmy też z wycieczką.

Na sekundę zrobiło się zupełnie cicho, a potem jakby ktoś ul otworzył. Zapiszczało, zabręczało głosami, zastukało ławkami, zaszurało po podłodze.

Pierwsze ławki podjechały prawie pod katedrę ze wzruszenia.

— Jedźmy, proszę pani.

— Koniecznie.

— To nawet nie tak drogo, może wydadzą zniżki. Jak pan kierownik poprosi, to przecież dadzą.

Aż pani jak od pszczoł musiała się opędnąć i podniosła rękę:

— Cicho.

Klasa umilkła w oczekiwaniu:

— Pomyślę o tem, postaram się. Może na zakończenie roku uda się coś zrobić. Ale same pomyślcie, jaka to trudna sprawa, czy będziecie mogły pojechać i czy wasi rodzice będą mogli urządzić wam tę wycieczkę, nawet mimo zniżek kolejowych.

Wanda nagle z ukosa patrzyła w stronę Ojdy. Siedziała w ławce ze spuszczoną głową, ale słuchała uważnie. W palcach kręciła jednak obojętnie obsadkę pióra. Musiała wiedzieć napewno, że nie będzie mogła.

— A czy mnie tatuś będzie mógł dać tyle ile potrzeba na to? — zamyśliła się smutno Wanda. Rozumiała dobrze, dlaczego Ojda bawi się obsadką, kiedy wszystkie dziewczynki aż z ławek wyskakują.

— Proszę pani — spytała nagle głośno — a co mogłybyśmy zrobić same, żeby pojechać, nasz cały oddział?

— To bardzo trudne — powiedziała pani do zarumienionej Wandzi — może postaracie się zarobić na to. W zeszłym roku chłopcy z V-go oddziału zrobili na popis śliczne roboty laubzego-we, ramki z szyszek i sprzedawali to na jakiś dochód. Pomyślcie co wy potraficie?

— Toby się sprzedawało jak na kiermaszu — zawołała Oleńka — moja mama zawsze jest gospodynią.

— Możemy malować i okładki do książek robić i deczki ¹⁾ haftować — wołały dziewczynki. Potem urządzimy wystawę i bilety będą kosztować, a rzeczy sprzedamy — proponowała Gretka. — Za te pieniądze pojedą te dziewczynki, które z domu nie dostaną.

— Wszystkie — dokończyła Wandzia, pamiętając o tem, żeby i Ojda i Anusia Nastówna i Piotra Baba mogły pojechać na tę wycieczkę.

V.

Od tego dnia zaczęła się gorączkowa robota. Zbierano się codzień popołudniu w klasie. Ze składek kupiono brystol, bibułkę i kolorowe nici. Postanowiono wykonać jaknajwięcej i ładnie, co kto umiał. Pani też przychodziła niekiedy, żeby pomóc.

To były piękne i wesołe dni. Dziewczynki pędziły popołudniu ze szkoły pełne radosnych nadziei i projektów. Był już przecież koniec roku i lekcji

¹⁾ serwetki.

niewiele, dlatego na pauzach, przy obiedzie, o każdej porze dnia można było słyszeć nieskończone rady, co zrobić i jak.

W klasie rosły długie łańcuchy dla ozdoby, złote, czerwone i modre. Krzyżykami szyły Oleńka, Gretka i Truda serwetki, inne robiły z koraliików poduszki do szpilek, Wandzia i Lilka — zabawne kolorowe pajace z wełny. Nożyczki dzwoniły, klej lepił palce i rozmowy brzęczały nieustannie.

Zawsze jednak nie wszystkie dziewczynki przychodziły. Ojda nie pokazała się ani razu.

Któregoś popołudnia, kiedy praca wrzała wśród rozrzuconych kolorowych strzępków i arkuszy, pomyślała Wandzia o niej. Właśnie Lilka podniosła do góry swój haftowany laufer.

— Dycht¹⁾ jak bławatki! — zawołała — nie?

— Właściwie — rzekła Wandzia — dlaczego nie wszystkie dziewczynki przychodzą, przecież mamy jechać razem wszystkie, to największa przyjemność.

— No, jak chcą — krzyknęła Truda — myśmy przecież mówiły.

— Prosić je, czy co?

— Może się wstydzą wziąć te pieniądze, albo jeszcze coś innego — powiedziała Wandzia zamysłona.

¹⁾ Zupełnie.

— To idź po nie — zażartowała Lilka, wyciągając długą nitkę z robótki i dodała z zapalem — jeszcze tutaj ząbki szydełkiem dorobię.

Naturalnie to był żart o pójdzie po Ojde, ale myśl zaczęła Wandzię nurtować.

— A jeżeli pójdę naprawdę — myślała wciąż i nawet mniej już interesowała się robótkami, choć naokoło wrzała praca i rozbrzmiewały śmiechy. To klej się wylał, albo któraś wybrała zabawny kolor. Ale w pierwszym rzędzie były plany i nadzieje.

Kiedy się pójdzie, rano, czy wieczorem i co się zabierze?

— Ja z tobą pospół — wołała Lilka do Oleńki — jeden plecak weźmiemy i usiądziemy razem przy oknie.

— O, już przy oknie. Będziemy się zmieniać, każdy chce zobaczyć — protestowały dziewczynki, choć jeszcze w tej chwili siedziały na ławkach w klasie, nie w wagonie.

— Czy to będzie się już można kąpać? — A łódkować?

Wszystkie umiały pływać i znały dobrze wodę jezior. Tylko Wandzia, która się najwięcej z tej wycieczki cieszyła, siedziała roztargniona. Już dwa razy musiała naprawiać pajaca, zajęta myślą: co powie Ojda, kiedy przyjdę?

Każdy w miasteczku wiedział dobrze, gdzie stały baraki. Były na ogrodzonym placu i miały błoniaste szybki, zamiast szklanych. Na Placu

suszyła się bielizna i trochę sieci rybackich, bo ludzie stąd chodzili na połów do jeziora. Dzieciaki bawiły się w kałużach i chłopcy świstali przeraźliwie na blaszanych gwizdkach. Wandzia aż podskoczyła, kiedy koło jej ucha ktoś gwizdnął dziko.

Pierwszą znajomą postacią był mały chłopak w bluzie z czerwonymi guzikami, poznała go od razu i zauważyła teraz, że był podobny do Ojdy. Zapytała, gdzie mieszkają, a mały zamiast odpowiedzieć, spytał ciekawie:

— Ty z Kongresówki jesteś, nie?

Potem pokazał umorusaną rączką.

— Tam, gdzie ławka stoi, mieszkamy.

W pierwszej chwili Wandzia nie widziała nic, tak ciemno było w głębi otwartej izby. Dopiero po chwili odróżniła przy kuchni znajomy, pasiasty fartuch, krzątający się koło żelaznych garnków na kuchni.

Bury kot w czarne pręgi grzał się przed wydeptanym progiem i tylko on podniósł zielone ślepki na powitanie.

Już teraz z samego patrzenia wiedziała Wandzia, dlaczego Ojda jest taka zajęta i ma często brudne, poplamione zeszyty. Pewnie od kuchni prędko zabiera się do pisania i nawet nie ma wygodnego stołu.

Wandzia nie zdążyła dokończyć tej myśli, kiedy Ojda ujęła przez ścierkę w obie ręce wielki, żelazny sagan i zdjęła go z kuchni. Nagle za-

zacerwieniła się mocno i postawiła garnek na cementowej podłodze. Wybiegła aż przed próg.

— Czego chcesz? — zapytała szorstko Wandzię.

— Ojda — spytała Wandzia nie śmiało i przypomniała sobie, że nawet nie wie jak tamta ma na imię — dlaczego nie przychodzisz do Oleńki?

— Bo nie.

— Dlaczego, przecież wszystkie mamy jechać na wycieczkę.

Zacerwieniona i zła popatrzała Ojda.

— W tej szmacie może pojadę, co? I tak nic nie będzie z tej wycieczki — niespodzianie napłynęły jej czarne, bystre oczy żalną wilgocią.

— Wszystkie musimy jechać — zawołała Wandzia z zapalem — poradzimy sobie.

— Dlaczego ty — spytała Ojda łagodnie — dlaczego ty tak chcesz żebym pojechała?

Teraz Wandzia zacerwieniła się gorąco:

— Chciałam się z tobą zaprzyjaźnić, już dawno.

— Przecież wciąż z Oleńką chodzisz — powiedziała Ojda zimno.

— Bardzo cię proszę — rzekła Wandzia — chodź ze mną do szkoły. Zobaczysz, pojedziemy wszystkie.

Ojda namyslała się chwilę, potem weszła do baraku, zastukała fajerkami i wreszcie po chwili wyszła do Wandzi.

— No, to chodź — powiedziała cicho.

Z kątów za niemi wybiegały dzieci, płosząc śpiące w słońcu koty.

— Ojda z Kongresówką — zawołał jakiś urwis.

Wtedy Ojda odwróciła się i z całych sił gwizdnęła przez zęby, cienko, przeciągle aż echo poniosło w stronę jeziora:

— Głupiiiiii...

VI.

Pieniądze ze sprzedaży starczyły dla czterech dziewczynek. Nie wszystkim pozwolili jechać rodzice; nie pojechały wcale te, którym nie udało się przejść do VI-go oddziału; tak już zawsze w każdej radości musiała być kropla zmartwienia.

Zato pozostałe dziewczynki, po dniach wzruszenia, po trwożnem liczeniu zarobków, szczęśliwe i promienne, wybierały się na wycieczkę.

Dzień wstał w miasteczku różowy, niebieski i złoty, od jutrzeńki, wody w jeziorach i blasku lata.

Na stacyję pan naczelnik Lendzion już wiedział, że jedzie wycieczka, w okienku pan kasjer Wiewiórski szykował jeden bilet dla wszystkich i dziewczynki gęsiego stały z plecakami, odświeżone ubrane, rumiane jak sobotnie chleby.

Ojda nosiła granatową sukienkę, którą jej uszyła matka Wandzi. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle i wspinała się teraz na palce, żeby

zobaczyć, czy nie nadjeżdża pociąg. Jeszcze nigdy w życiu nie jechała koleją.

Pani weszła pierwsza na peron.

Wtedy numerowy, ojciec Trudy, pan Grzegorz, podszedł do dziewczynek, żeby odszukać swoją córkę:

— Niech się pośpieszą do cugu — rzekł — dwa minuty ino stoi — i zapytał Trudę:

— Wszystko masz co potrzeba?

Dziewczynki zaczęły się posuwać niecierpliwie naprzód:

— Proszę pani, bo nie zdążymy.

Popychały się i niepokoily. Tylko doświadczona Wandzia, która odbyła już jedną wielką podróż uspakajała je z miną starego podróżnika:

— Napewno zdążymy.

Nagle podniesiono semafor. Daleko, na zielonym zakręcie wśród łąk ukazał się biały obłoczek pary, a za nim czarna, dysząca lokomotywa.

— Pociąg — wrzasnęły dziewczynki.

Ojda uścisnęła ramię Wandzi tak mocno, że je Wandzia parę razy wypróbowała w powietrzu, czy tylko nie zostało zmiażdżone.

Pociąg zatrzymał się na stacji.

— Do czwartej klasy — zawołała pani. — Aż do Grudziądza jedziemy czwartą — i w mgnieniu oka dziewczynki wypełniły pusty, czworokątny przedział, przeznaczony dla wycieczki. W oknie, jedna nad drugą tłoczyły się głowy.

Wyciągano chusteczki i kiwano nielicznym od-

prowadzającym. Gwizdek. Zawiadowca przyłożył dwa palce do czerwonej czapki. Pociąg ruszył, zostawiając za sobą czysty dworzec Wąbrzeźna ze skrzynkami czerwonych pelargonji w oknach.

Ojda, czyli Marysia, (już Wandzia wiedziała teraz jak jej było na imię) oparła tymczasem na ławce pokrywkę tekturową, której brzegi obdarła i zmoczywszy ołówek, napisała grubemi literami:

„VI Oddział Szkoły Powszechnej w Wąbrzeźnie”.

— Szósty! — ucieszyły się dziewczynki, bo w ostatnich dniach tyle było zajęcia wycieczką, że coroczna radość z przejścia do następnej klasy zgasła trochę.

Pani zapowiedziała, żeby nie rozpakowywać paczek, bo w Grudziądzu należało przesiąść do innego pociągu. To było nowe urozmaicenie.

W Grudziądzu długim tunelem trzeba było przejść wdół, a potem w górę. Na torze stał pociąg z tabliczką Grudziądz — Gdańsk (przez Tczew). Nie obeszło się przy tej przesiadce bez przygody.

Trudce w drodze, kiedy biegły, żeby zdążyć do tunelu, otworzył się plecak i twarde jaja wesoło wyskoczyły na wolność. Naokoło oglądali się ludzie ze śmiechem.

Zrozpaczona, bliska łez, przyklękła Truda i goniła rozbiegane drobiazgi.

— Prędko, prędko, zostaw już te jaja —

goniono ją ze wszystkich stron i pomagano naważać zapinać plecak.

Dopiero w przedziale nowego pociągu rozładowano się na dobre. Teraz dopiero zaczynała się właściwa podróż. Rozłożono zapasy żywności.

— Zbierzemy co kto ma i pani podzieli — zaproponowała Wandzia.

Pamiętała, że w Łodzi też tak kiedyś zrobiono na wycieczce.

Chociaż niejedna spojrzała z żalem na swoją smaczną sznytkę z leberką ¹⁾, którą trzeba było podzielić na małe części, zgodziły się wszystkie:

— Jak razem, to razem.

Śmiechem i wrzawą rozpoczęto wspólne śniadanie na papierowych serwetkach.

Pani ledwie dążyła podzielić, taki apetyt rozwinał się odrazu.

Wagon tętnił wrzawą, w oknie paradowała tłustymi, czarnymi literami ozdobiona tekturowa tabliczka: VI Oddział...

Na kratkowanych karteczkach notesu wypisywały sobie dziewczynki nazwy mijanych stacyj. Nazywały się tutaj dziwnie i zabawnie: Łaskowice, Warlubie, Smętowo i Subkowy, aż do znanego Tczewa.

Za Tczewem sprawdzano dowody osobiste, ale wycieczkę pominięto. Potem pociąg wjechał

1) Kielbasa wątrobianą, pasztetową.

na obszar Wolnego Miasta Gdańskiego, przez małe czyste osady, gdzie już napisy były niemieckie i rozbrzmiewała niemiecka mowa.

Miejsca przy oknie wciąż jeszcze były w oblężeniu. Dziewczynki chciały wszystko oglądać, przecież były jakgdyby zagranicą.

Za Gdańskiem, który zdaleka ukazał się pięknymi, starymi budowlami i szerokimi ulicami wielkiego miasta, rozpoczął się znów obszar polski i dziewczynki zaczęły szykować się do kresu podróży.

Zdejmowały z siatki plecaki, zapinały je na rzemyki, kiedy nagle od strony okna krzyknęła Ojda:

— O, o tam...

Plecaki pospadały z ławek, wszystkie zerwały się z miejsc:

— Co się stało? — spytała niespokojnie pani, z trudem przedostając się przez gromadę dziewczynek.

Ale podszedłszy do okna umilkła, a z nią wszystkie dziewczynki w milczeniu patrzyły w kierunku, gdzie wskazywała nieruchomo w powietrzu zawisła, opalona ręka Ojdy. Za obszarem zielonych łąk, nisko wdole leżało ciche, widoczne na horyzoncie dalekie, niebieskie morze.

Było tak odległe, że wydawało się skrawkiem nieba.

Nieuważna Truda przerwała pierwsza milczenie:

— Na co się tak patrzycie, Ojda, czego się gapisz jak sroka w kość?

— Głuptas — krzyknęło pięć dziewczynek jednocześnie, a pani spokojnie skierowała na nią oczy:

— Przecież to morze.

VII.

Dziewczynki wyjechały rano, a dopiero po południu podniecone i pełne wrażeń przyjechały na miejsce do Gdyni.

W parterowym białym domku na nowej ulicy, której część dopiero była zabrukowana, a reszta stanowiła polną drogę, mieścił się rodzaj schroniska dla wycieczek.

Trzeba było dwadzieścia dziewczynek ulokować w dwóch pokojach.

Myto się pokolei w dużej porcelanowej misce w kwiaty. Miska też wydawała się niezwykła. Jeszcze żadna nie widziała takiej. Jeszcze żadna nie jadła wspaniałego wędzonego węgorza, ani łososa, które zostały uroczyście podniesione w górę, żeby je dokładnie obejrzyć przed jedzeniem.

Wczesną kolację zajądano przy długim stole nakrytym czystym obrusem. W wazonach czerwone maki prosiły swojemi czarnemi słupkami. Na ścianie wisiała tabliczka jeszcze z przeszłorocznego Święta Morza z napisem:

„Gdynia, najmłodsze miasto Polski wita was”.
Płaskie wędzone flądry i wielkie dorsze to



były nieznane przysmaki, któremi powitało morze przy kolacji

Kiedy nasycono głód, Trudka nieśmiało zaproponowała:

— Chodźmy na przechadzkę.

A za nią wszystkie dziewczynki:

— Proszę pani, my na tak krótko, nie zdążymy, chodźmy.

Pani dała się ubłagać. W szalonym pośpiechu zaczęto wciągać berety i palta, potem parami przez Plac Kaszubski i szeroką, piękną ulicą Św. Jańską ruszono na wybrzeże.

Teraz dopiero zobaczyły dziewczynki morze zbliska. Podeszły tak blisko, że małe fale z białą koronkową pianą sięgały ich stóp. Nawet Oleńka, grzeczna i przykładna panna burmistrzanka, nie mogła się oprzeć i zamoczyła pantofel.

— Chodźcie na Kamienną Górę — powiedziała pani — stamtąd zobaczycie najlepiej część portu i wybrzeże, a potem najwyższy czas do domu.

VI oddział we wzorowym porządku, choć bardzo gadatliwie, ruszył na Kamienną Górę.

W drodze oglądano polskie i cudzoziemskie statki na kotwicy, które zawinęły tu do brzegu i wielki drewniany pomost rzucony, daleko na morze. Pani nazywała go „molo”. Zauważono prócz tego znacznie drobniejsze, ale bardzo ważne dla dziewczynek osobliwości. W kioskach i przy małych straganach sprzedawano woreczki prze-

ślicznych muszelek, pudełka wysadzone muszlami, broszki i bransoletki z bursztynu i małych błękitnych marynarzy z filcu.

Dlatego ani na chwilę nie mogły się zamknąć usta. Truda wzdychała:

— Ach żebym mojej mamie taką kistkę¹⁾ na szycie mogła kupić... — a inne:

— Pewnie drogie są takie muszle, nie?

— Ja muszę koniecznie coś przywieźć dla mojego braciszka Jasia — zwierzała się Wandzia Marysi-Ojdzie, ale mam pięćdziesiąt groszy, co można za to kupić?

Ojda zamyśliła się:

— Może mały woreczek z muszlami, albo malutką żaglówkę? Ale żaglówka chyba jest droższa, a muszle powinny tu być tanie, przecież morze wyrzuca je zwyczajnie na piasek, na brzeg.

Przeliczono pieniądze. Niestety, licząc już z pogardzanymi dwójkami, było pięćdziesiąt sześć groszy.

Tylko Ojda, Brysia i Małgosia nie miały kłopotów. Pojechały bez grosza i nikt nie mógł oczekiwać od nich prezentów.

Omawiając z ożywieniem te sprawy, weszły po stopniach na szczyt pięknie zalesionej Kamiennej Góry. Naprawdę widziało się stąd doskonale. Morze już pociemniało i było teraz mniej spokojne. Pieniste fale biły o brzeg, głębia wyglądała

1) Skrzynkę.

stąd srebrzysta i czarna. Statki w porcie były oświetlone. Zdaleka na widnokręgu lśniły małe, odległe złote światelka.

Pani objaśniała:

— To Oksywia, to Orłowo, a tam najdalej wysunięte światelko, to wąski cypel Helu.

Dziewczynki już oddawna umilkły. Oglądały dalekie nieruchome światła i te które padały na fale ruchliwym promieniem, odległe blaski latarni morskiej z Rozewia.

Zacynały rozumieć, ile jeszcze muszą poznać i nauczyć się, ile jest do zobaczenia w życiu, które się dopiero zaczynało.

Potem po stopniach wdół, znaną drogą, ruszyły do schroniska. Jeszcze do poduszki szeptano sobie obszerne plany na jutro, układano się w obcych łózkach, Lilka i Małgosia zamieniały się na poduszki:

— Ty lubisz nisko, a ja wysoko.

Potem VI oddział zasnął kamiennym snem zmęczenia po niezliczonych wrażeniach dnia.

VIII.

Nazajutrz zjawiał się deszcz, wróg wszystkich wycieczek. Wszystkie piękne plany odrazu z samego rana spłynęły z jego ulewnymi silnymi strugami. Budząc się zobaczyły dziewczynki przez okno mokrą ulicę i wezbrane wodą rynsztoki, zdaleka za białą płachtą gęstej, prawdziwie morskiej mgły widniała Kamienna Góra.

Postanowiono zwiedzić całą Gdynię, samo miasto, bo o innych spacerach nie można było marzyć, nawet na to pani zgadzała się niechętnie, ale dziewczynki nalegały gorąco.

— Nie jesteśmy z cukru, pójdziemy, nic nam się nie stanie.

Kiedy ulewa uspokoiła się trochę i tylko drobny, gęsty deszczyk mżył, przegłosowano pójście. Dziewczynki pełne entuzjazmu ruszyły i oglądały bez końca nowiutkie, dziwnie odświeżone przez tę nowość, miasto z pięknymi nowoczesnymi gmachami.

Obejrzały mały domek, w którym mieszkał Żeromski, dziwiły się, że wiele domów nie miało jeszcze numerów. Obok wielkich budowli stały niezabudowane, trawą porośnięte place. Wycieczka szła parami, Wandzia obok Ojdy.

W pewnej chwili spojrzała Wandzia na nogi przyjaciółki. Przez podeszwy jej pantofli wyraźnie przepływała woda, cery i łątki żałośnie wyglądały zmyte z pasty. Okazało się, że nietylko cukier przepuszcza wodę. Nie miało wcale sensu utarte powiedzonko „nie jesteśmy z cukru”.

Ale mimo podartych pantofli, Ojda z całym zapalem oglądała wszystko i zdawała się nie pamiętać o mokrych stopach.

W powrotnej drodze porobiono zakupy. Wandzia kupiła dla Jasia woreczek z muszelkami. Były tam rzadkie okazy, prześlicznie wygięte ślimacznice i rożki. Najpiękniejszą bursztynową

bransoletkę kupiła Oleńka dla matki. Długo pocierano bursztyn, żeby naelektryzowany przyciągał papierki — wtedy już będzie wiadomo, że jest prawdziwy.

Dopiero trzeciego dnia uśmiechnął się los do wycieczki. Słońce świeciło od rana, morze było błękitne i jasne. Od rana zaludniło się wybrzeże, a na falach, blisko brzegu, gęsto płynęły wysmukłe kajaki, lekkie żagłówki i wielkie, ciemne łodzie rybackie, kierowane przez opalonych na morski, miedziany kolor rybaków z zakasanymi pod kolana spodniami.

Wszystkie projekty, których dotychczas nie można było urzeczywistnić, zostały wtłoczone w ten jedyny, słoneczny dzień.

Tego dnia zdarzyła się największa przygoda tej wycieczki, ostatnia, która zamknęła i przypieczętowała rok szkolny, obfity w tyle nowin.

Przedewszystkiem trzeba było zwiedzić port. Motorówką „Delfin” wyruszono i zaraz gwałtowne kołysanie na falach dało dziewczynkom poznać trudności pierwszych morskich podróży. Najgorzej było z Wandzią. Nieprzyzwyczajona nawet do jazdy łódką, odczuwała ciągły zawrót głowy. Najgorzej było, kiedy „Delfin” wyjechał na pełne morze. Twarze pobrały i zawczasu przygotowane przez panią cytryny, zostały wstydliwie wyjęte z ukrycia.

Dopiero po dłuższej chwili przyzwyczały się dziewczynki i zaczęły przyglądać się pięknemu

portowi, polskiemu statkowi transatlantyckiemu „Kościuszce” i obcym okrętom, które tu zawięły.

Oglądały nieznane bandery i pouczone przez przewodnika, zaczęły je same rozpoznawać:

— O, to szwedzka, niebieska i żółta z krzyżami, a tamta duńska.

Można się tutaj było najlepiej nauczyć geografji.

— A jak wyglądają tamci marynarze? — dopytywały się dziewczynki, bo okręty wydawały się zupełnie puste.

— Zobaczycie — mówiła pani — a zresztą, cóż wy sobie nadzwyczajnego wyobrażacie? Ot, marynarze, tacy sami, jak ci, którzy spacerują na naszym wybrzeżu i mają na czapkach napisy „Marynarka handlowa”, albo Wojenna.

Wkrótce zresztą zobaczyły dziewczynki marynarzy z duńskiego okrętu „Johansen”, wysokich jasnowłosych mężczyzn, którzy im wesoło kiwali rękami i wołali coś, co brzmiało jak „Kopenha-ga”. Może to oznaczało zaproszenie? Niestety, nie można było z niego skorzystać. Ale przejażdżka w porcie, to nie było jeszcze dosyć morza. Kiedy część dziewczynek pod wyznaczonym dyżurem Małgosi i Lilki została na molo, reszta pojechała na spacer rybacką łodzią. Pozostałe miały jechać później na zmianę.

Stary, siwy rybak, Kaszub wiosłował i odpowiadał na tysiączne pytania dziewczynek.

— Czy dużo ryb łowi się tutaj? — Czy to już pełne morze?

Stary Kaszub na to po swojemu:

— Oho duza, duza. Są ta steinbuty, flondry, wangorze...

Nawet dziewczynki z Pomorza niebardzo rozumiały go, a już Wandzia ani słowa.

Kiedy mówił flondry to brzmiało jak flundry. Nie słuchała więc Wandzia, ale kręciła się na ławce i usiłowała odczytywać nazwy mijających je statków i łodzi.

Zasłaniała sobie ręką od słońca oczy i wykrzykiwała coraz: „Jasiek”, albo „Jaskółka”

Już kilka razy upominano ją, ale Wandzia nie mogła usiedzieć.

Bo żeby tak pomyśleć, ile widziało się tutaj, ile zdarzyło się ostatnio w całym życiu Wandzi. Najpierw z Fabrycznej Łodzi do Wąbrzeźna, a teraz nad morze.

Trzeba koniecznie, przynajmniej Krysi, napisać o swoich kolejach losu.

Zdaleka przemknął szybki kajak, fale miękko rozstępowały się przed nim i zwierzały się znów.

Wandzia przechyliła się jaknajdalej, żeby odczytać nazwę. Nagle... z wszystkich ust wyrwał się okrzyk przerażenia. Ciemno zielonkawa woda prysnęła wysoko, obrzucając kroplami dziewczynki, Wandzia mignęła w powietrzu płóciennymi pantofelkami.

Pierwsza pani zawołała: Ratujmy — i rozpa-

czliwie zwróciła się do rybaka, ale nim wymówiła słowo, już Ojda zaczęła zrzucać pantofle i sukienkę, pod którą, jak wszystkie dziewczynki miała tego dnia trykot kąpielowy.

Jeszcze raz plusnęła woda.

— Ojdowska — krzyknęła pani, niepewna, czy należy jej pozwolić. Tkliwa Oleńka wybuchnęła płaczem, za nią Brysia i Truda. Ale stary Kaszub spokojnemi uderzeniami wiosł powoli kierował łódź w ich stronę. Odrazu spostrzegł, że na rodzinnem jeziorze wyćwiczona, Ojda pływa jak ryba.

Podał jej zdaleka wiosło. Dosięgnęła go jedną ręką, wlokąc za sobą ogłuszoną i nawpół przytomną Wandzię. Wszystkie ręce wyciągnęły się na pomoc.

Wciągnięto obie dziewczynki na łódź. Wandzi słone strumyki płynęły z oczu, uszu i nosa. Nie umiała pływać i nie utrzymała się ani chwili na powierzchni.

Siedziała blada i zziębnięta między Oleńką, a Brysią, owinięta w grubą kurtę rybaka. Ojda z mokremi kosmykami czarnych włosów w zakiecie pani, promieniała radością i dumą.

Ukradkiem, chwilami patrzyła na Wandzię. Zato zdaleka na brzegu sporo ludzi przypatrywało się jej samej, bo widzieli całe zdarzenie.

Na dnie łodzi leżały zmoczone, zwinięte gałganki sukienek i pantofle. Mokre, płócienne Wan-

dzi i suche z otwartemi pyszczkami licznych dziur, spracowane pantofle Ojdy.

— Przypieczętowałyście dziś waszą przyjaźń — powiedziała im tego dnia pani.

IX.

Prędko mija czas. Zwłaszcza wtedy, kiedy schodzi na nowych wrażeniach i przyjemnościach. Wszyscy, którzy odbywali wycieczki, wiedzą, że trzy dni to wtedy trzy godziny. Znów buterszyny, paczki i plecaki, ale tym razem na powrót. Trochę mniej gwarno, bo wszyscy są zmęczeni. Pokazywanie zakupów i wspomnienia.

— A Kamienna Góra? A port? Pamiętacie?

Niewszystkie pamiętają to samo najlepiej, ale jedno wie każda, jak było na łodzi.

„Wtedy odrazu Wandzia buch do wody, my krzyczymy, pani woła rybaka, a Ojda...”

Temi słowami sto razy powtórzono zdarzenie tym, które go nie widziały.

Za oknami wagonu znów przelatywały pola, łąki i miasteczka. Najwcześniej stracono z oczu morze, potem zjawiły się znajome już stacje, coraz bardziej znane im dalej w kierunku domu.

W oknie znów dumnie paradowała tabliczka z napisem: „VI Oddział Szkoły Powsz. w Wąbrzeźnie”.

— Szkoda, że tak krótko—westchnęła Oleńka.

— Ale jak dobrze, że udało nam się pojechać — Rzekła Ojda.

Wandzia nie powiedziała nic. Myślała o tem, że to naprawdę była piękna wycieczka, że dużo jest dziewcząt w fabrycznej Łodzi i nawet na bliżkiem Pomorzu, które nigdy nie zobaczą morza, nie wyjadą poza swoje rodzinne miasto i nie znajdą prawdziwej przyjaciółki, takiej dzielnej i miłej.

W milczeniu uścisnęła rękę Ojdy, która siedziała obok i właśnie zaczynała drzeć.

— Co? — zapytała ją sennie Marysia.

— Nic, nic — powiedziała Wandzia i roześmiały się obie bez powodu, poprostu z radości, że dobrze jest umieć się cieszyć swoim powszednim dniem.

Na siatkach podskakiwały paczki. Kilka nieznużonych dziewczynek zmieniało się jeszcze wciąż przy oknach, pociąg dudnił szybko po szynach.

Ledwie dziewczynki się spostrzegły, kiedy zbliżył się kres podróży i przez okna zajrzały czerwone pelargonje w skrzynkach za oknami małego budynku stacyjnego w Wąbrzeźnie.

Niektórzy rodzice czekali już na stacji. Mamusia Wandzi zdaleka powiewała chusteczką, a wysoki czerwony na twarzy numerowy, pan Grzegorz, ojciec Trudy zdjął czapkę.

On pierwszy podbiegł do wagonu, odstawiając swoją taczkę, „karę”, jak mówiono tutaj.

— Truda — zawołał — jak się masz, jak ci poszło?

Wtedy nie tylko Truda, ale cały VI oddział zawołał chórem:

— Doskonale, świetnie, wspaniale...

— Prędko, prędko dziewczynki, pociąg zaraz ruszy — przynagliła pani; jedna za drugą sypały się z wagonu podróżniczki.

— Gotów — gwizdnął przeciągle pan Lendzion, zawiadowca.

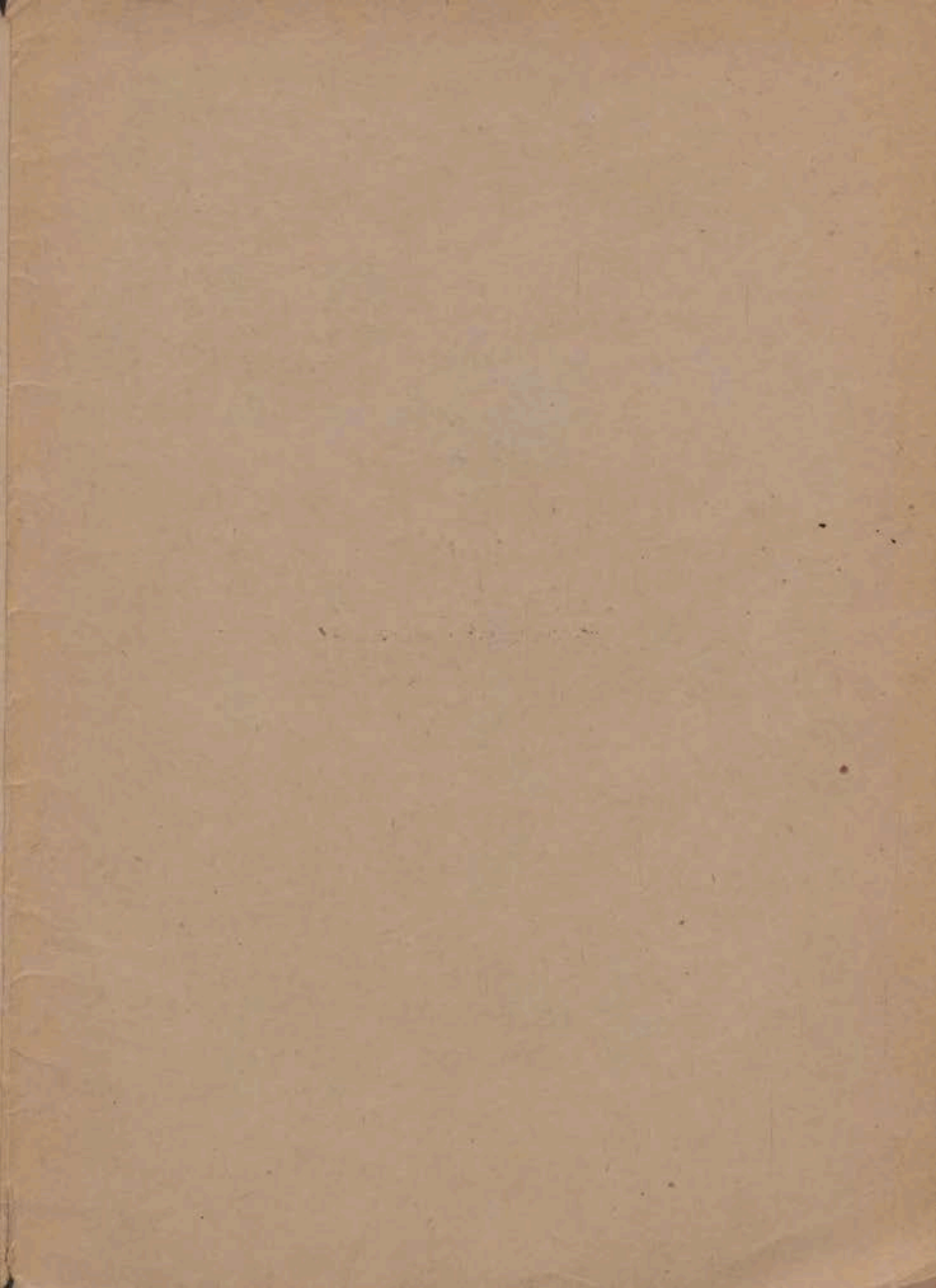
Na stacji witano się, ściskano i pieszczano, kiedy pociąg zaczął się zwolna naprzód posuwać.

— O — zawołała Małgosia — nasza kartka....

Zapomniana i samotna mignęła dziewczynkom już w biegu z okna wagonu kartka z grubemi literami „VI Oddział”...

Zostawiono ją, zapomniano o niej w pośpiechu i wzruszeniu. Tak VI oddział nie skończył jeszcze swej podróży i pojechał dalej w piękny, nieznamy świat.

KONIEC.



2
1

12192MKD

